

Nr. 15. Cieszcie się lubym wiekiem, bo prędko uleci, Wesoło lecz na dobre użyjcie go, dzieci. I. Sierpnia.

Ks. Karol Antoniewicz.

Nie jedno z was, kochane dziatki, czytało lub uczyło się na pamięć ślicznych wierszyków o św. Jacku i św. Janie Kantym – a mało które z was wie kto to był ten, co je napisał.

Otoż był nim ks. Karol Antoniewicz, znany z naszych już czasów kaznodzieja, którego czyste i wzniosłe serce było skarbem współczucia, troskliwości, poświęcenia i dobroci ku bliźnim swoim.

Ks. Karol Antoniewicz urodził się dnia 6. listopada 1807 r. we Lwowie ze szlacheckiej rodziny ormiańskiej. Młode

lata przepędził w Skwarzawie, wiosce w obwodzie żółkiewskim, gdzie ciągle mieszkali rodzice jego.

W bardzo młodym wieku jeszcze będąc postradał ojca, tylko mu matka pozostała. Była to kobieta niezrównanej świątobliwości. Ona pierwsza wpajała cnoty w młodociane jego serce, ona to wpajała w niego pierwsze pojęcia o wszechmocności, mądrości i dobroci Boga.

W jej domu często przebywali kapłani — a drzwi dla ubogich i sierót zawsze stały otworem. To wszystko niemało wpływało na młodziutkiego Karola, któren matkę swoją tak kochał i cenił, że ją w późniejszych latach do świętej Moniki przyrównywał.

Ukończywszy z celującym postępem krótko przed rokiem 1830 nauki we Lwowie — pojechał mając myśl napisania historji narodu ormiańskiego, do krewnych swoich w Jassach na Wołoszczyźnie.

Ale nie długo bawił w tamtych stronach — jęk strapionej ojczyzny rozleciał się po wszystkich krańcach ziemi i zwoływał wszystkich prawych synów, aby szli ją bronić jęczącą pod dziką władzą moskiewską.

Był to bowiem rok 1830.

Pospieszył więc i młody Karol do Warszawy i stanął w szeregach legji nadwiślańskiej, którą do korpusu dzielnego jenerała Dwernickiego przyłączono.

Młodzieniec z całym zapałem gorącej duszy służył ojczyźnie, którą nad życie przenosił, którą chciał widzieć wolną i swobodną, dla której chciał poledz bohaterską śmiercią.

Po niepomyślnem ukończeniu wojny wrócił smutny i niepocieszony do dziedzicznej wioski Skwarzawy i tu oddał się cichej wiejskiej pracy i naukom.

Wkrótce, w 1832 r. pojął swą siostrę wujeczną Zofię Nikorowiczównę za żonę. Bóg błogosławił cnotliwej parze, pięcioro ślicznych dzieci zesłał ku jej pociesze i zdawało

się że błogosławieństwo jak słońce świeciło nad domem Antoniewiczów. Sędziwa matka Karola widziała w tej rodzinie świat cały, całe szczęście swoje — a spokojna o jej los, wstąpiła do klasztoru Benedyktynek we Lwowie, aby ostatek życia poświęcić pobożnym rozmyślaniom i cichym cnotom chrześcijańskim.

W domu jej syna dostatek mnożył się z każdyn dzionkiem. Włościanie miłowali jak swego ojca młodego dziedzica, którego powszechnie aniołem łagodności nazywano, kobiety wiejskie nazywały młodą dziedziczkę swoją matką — która z szczególną dobrocią wspierała ludzi swej wioski w smutku, chorobie i niedostatku.

Ale nie za długo chmury zasępiły szczęśliwą dolę — śmierć rozdzierając serca rodzicielskie zabierała jedno dziecko po drugiem, i tak na Skwarzawskim cmentarzu urosło pięć mogił a nad niemi pięć krzyżyków....

Zważywszy że kogo Bóg szczególniej kocha, tego najdotkliwiej próbuje — nie sarkali stroskani rodzice, postanowili jednak przy śmierci ostatniego dziecka rozłączyć się na zawsze i wstąpić oboje do klasztoru.

Ala ona sama nie mogła przeżyć śmierci ostatniego dziecka — skonała w suchotach 1839 roku we Lwowie, gdzie ją pochowano w habicie siostry miłosierdzia.

Z wielkiem rozrzewnieniem pożegnał Karol Antoniewicz drogie strony rodzinne i odebrawszy od matki błogosławieństwo i rozporządziwszy swoim majątkiem, wstąpił do nowicjatu Jezuitów w Starejwsi 10. września 1839 r. mając natenczas lat trzydzieści ośm.

Po kilku zaledwie tygodniach pobytu w klasztorze łagodnością, pokorą, posłuszeństwem, miłością i poświęceniem ujął sobie serca wszystkich, stał się chlubą i ozdobą klasztoru.

W wolnych chwilach wygrywał na fortepianie, który do klasztoru sprowadził, pieśni pełne wdzięku i uczucia, które

sam układał. Pieśni jego na Boże Narodzenie odznaczają się szczególną prostotą.

W r. 1844 wyświęcił się Karol Antoniewicz w klasztorze Sądeckim na księdza, albowiem tutaj odbył nauki duchowne. Matka jego nie dożyła już tej upragnionej chwili.

Pierwszą mszę odprawił ks. Karol we Lwowie u św. Piotra, pierwsze znowu kazanie miał podczas adwentu w Sączu. Śliczne jego kazania i niezrównana wymowa nie za długo stawiły go w rzędzie najpierwszych ówczesnych kaznodziei.

W r. 1846 przez pół roku w obwodach sądeckim, bocheńskim i tarnowskim odbywał misje, w czasie których z krzyżem w ręku najtwardsze kruszył serca.

Po takiej mozolnej pracy podupadł na siłach — musiał więc w Tatrzańskiej okolicy szukać pokrzepienia, zkąd bardzo piękne pisywał listy.

W 1848 r. rozwiązano zakon Jezuitów — czynny ks. Karol zwiedziwszy Kraków odjechał do Grefenbergu dla poratowania nadwątlonego zdrowia. Tu za jego staraniem przy pomocy Polaków powstała pierwsza w szląskiej ziemi Ochronka dla małych dzieci.

W 1850 r. kiedy Kraków po okropnym pożarze zapłakał nad gruzami swemi — pospieszył ks. Karol w jego mury, aby słowem pociechy i nadziei ukoić zbolałe serca mieszkańców starego grodu.

Poźniej z innymi braćmi zakonnymi powołano go na misje na górny Szląsk, potem do W. Ks. Poznańskiego, gdzie wielka wybuchła cholera.

Pomimo zaraźliwej choroby wypełniał on ściśle obowiązki swoje i wołał:

— Dzieci Boże! nie bójcie się cholery, lecz bójcie się grzechu!

I dotąd nie odstępował chorych dopóki plaga nie ustąpiła z kraju.

W 1852 r. przybył na stały pobyt do klasztoru w Obrze, gdzie 14. listopada, dotknięty cholerą, pożegnawszy braci zakonnych słowami:

— Do widzenia w niebie! — pięknego dokonał żywota.

Płakali za nim wszyscy ci, co mieli sposobność bliżej go poznać i budować się z głoszonych przez niego nauk, a w kościołach wznosiły się modlitwy i nabożeństwa żałobne za jego duszę.

Nie będę wam wymieniał dzieł przez ks. Karola Antoniewicza napisanych — lecz zakończę przytoczeniem miłosiernego uczynku, który w latach młodocianych wypełnił.

Idąc raz na przechadzkę na Wysoki Zamek we Lwowie, obaczył małego, od głodu i zimna prawie umierającego chłopca, który w jamie skulony i bez znaku życia leżał.

Otulił go własnym płaszczem, przyprowadził do domu, i tu nie tylko że go żywił i okrywał, ale w chwilach wolnych uczył go różnych rzeczy. Biedny sierota tak się do młodego Karola przywiązał, iż go na krok nie chciał odstąpić, to też w 1830 r. na pole bitwy mu towarzyszył i tam dopiero kulą ugodzony rozłączył się z ukochanym dobroczyńcą.

J. z B.

Wiązanie Stasia.

Staś, grzeczny chłopak i posłuszny synek,
Dostał na wiązanie śliczny karabinek!
Czerwone łoże a błyszcząca lufka,
Żłobiona wewnątrz jak gdyby gwintówka —
Toż Staś co lubi bawić się w żołnierza
I zawsze pierwszy na wroga uderza,
Skakał z radości na widok tej broni,
Jak gdyby cały świat trzymał w swej dłoni!
Lecz czemuż naraz posmutniał chłopczyna?
Czy już zabawka nudzić go zaczyna?

— „Mamo — rzekł smutnie wszak to tylko blaszka!
Na cóż mi dzisiaj zda się taka fraszka?
Czemuż karabin ten nie jest ze stali,
Abym mógł z niego strzelać na Moskali,
Co tak mordują naszych biednych braci
I nad rannymi pastwią się jak kaci.“

— O! dziecię moje — rzecze matka czule —
Pójdź niech cię za to do serca przytulę!
Widzę żeś godzien polskiego imienia,
Bo sercem podzielasz narodu cierpienia;
Lecz słuchaj synu! jeszcześ ty za młody
Byś obozowe znosił niewygody;
Dziś tobie jeszcze uczyć się potrzeba;
A gdy dorośniesz i za łaską nieba
Ramienia twego siła się ustali:
Pójdziesz do walki z orężem ze stali!

Fr. W.

NA WSI.

(Dokończenie.)

Pilno było Wandzi do domu, bo chciała czem prędzej zająć się skubaniem szarpji, bo też wkrótce po podwieczorku, pożegnawszy się ze wszystkimi i uprosiwszy matkę Maryni aby tejże pozwoliła wkrótce ją nawzajem odwidzić, odjechała spiesznie. Przez całą drogę rachowała w myśli swoje gałganki, dawne zabytki strojów lalek, które z największą ochotą miała poświęcić na szarpie, a gdy sobie przypomniała że tego wszystkiego byłoby za mało, bo pomiędzy gałgankami nie wiele było kawałków z lnianego płótna, postanowiła prosić matki o zasiłek, i była przekonana że jej nie odmówi na cel tak ważny i pożyteczny — nie myliła się wcale; gdy za powrotem do domu opowiedziała matce czem się Marynia zajmuje, a czem ona by się zająć chciała, dobra, mama

pochwaliła ją za tę myśl patryotyczną, i ucieszyła się bardzo że Wandzia chce stosownie do możności i sił swoich pracować dla sprawy ojczystej. Zaraz nazajutrz wyszukała rozmaitych, przydatnych na szarpie kawałków i Wandzia zasiadła do roboty. Kto ochoczo zabiera się do dzieła temu wszystko żwawo i dobrze idzie. Podobnież działo się i Wandzi. Za dwie godziny ujrzała przed sobą daleko znaczniejszy stos szarpji jak się spodziewała, poznała więc ztąd że nawet bez zaniedbywania dawnych swoich obowiązków, to jest ogródka, książeczki i wyręczania Mamy, będzie mogła oddawać się nowemu zajęciu, a że o ile grzeczną i pilną, o tyle była porządną, więc umiała swój czas w ten sposób podzielić, że wystarczyło na wszystko.

— O! ja nigdy nie zaniedbam moich kwiatów, mówiła, owszem jeszcze troskliwiej pielęgnować je będę teraz.

— Dlaczegoż jeszcze troskliwiej teraz? zapytała matka widząc że Wandzia istotnie więcej jak dawniej dokłada starania aby jej kwiateczki pięknie i świeżo wyglądały.

— Przebacz kochana Mamo, to moja tajemnica, która się wkrótce wyjaśni.

Matka nie nalegała więcej i cieszyła się że Wandzia była we wszystkiem wytrwała.

Podczas gdy Wandzia tak pożytecznie przepędzała wakacje, młodszy jej braciszek Karolek, wcale się inaczej zachowywał i nie zasługiwał na pochwały i pieszczoty jakie siostra jego odbierała. Jeżeli zasiadł do książki, to tylko po to aby miąć kartki, lub wydzierać obrazki, jeżeli wziął pióro do ręki to poplamił papier, ręce i żupanik, a nic nie napisał. Gdy go Wandzia prosiła aby jej pomógł pleć w ogródku, wyrywał przez nieuwagę młodociane warzywa, a zasadzony do skubania szarpji, płakał przez dwie godziny i ani jednej nitki nie wyciągnął. Od rana do wieczora trawił czas na niczem, a tak wakacje nudno mu schodziły, i ani się bawił, ani uczył. Największą dla niego było uciechą wyśliznąć się cichaczem z pokoju i spinać po drzewach, straszyć małe kurczątka, pędzić kaczki do wody, lub rzucać kamyczkami

na konie w stajni uwiązane. Choć Mama nieraz upominała Karolka aby się poprawił i groziła że skróci czas wakacji, jeżeli nie będzie grzeczniejszym, nic to nie pomagało i Karolek zawsze jednakowo płatał figle, a nie pomyślał o żadnem pożytecznem zajęciu. Owszem stawał się codzień swawolniejszym, bo się coraz więcej ośmielał do wszystkiego.

Pewnego razu, po południu, Wandzia powróciwszy z ogródka, usiadła obok matki z zwykłą ręczną robotą. Mama dostrzegła że Karolka nie ma znowu.

— Czy go nie widziałaś w ogrodzie? zapytała.

— I owszem Mamo, był przed chwilą, ale bawił się bardzo grzecznie — ja też widząc kochanego braciszka w takiem usposobieniu, uściskałam go i prosiłam aby mi naprawił ogrodzenie w moim ogródku.

— Bardzo dobrze zrobiłaś, rzecze Mama, że go w ten sposób chciałaś zachęcić do przyjemnej a nieszkodliwej zabawy. I cóż? — przystał?

— Z największą chęcią. I dlatego też powróciłam tak wcześnie i mam przeczucie że kochana mama nie będzie dzisiaj potrzebowała gniewać się na mego braciszka.

— Oby się ziściło to twoje przeczucie! Ale dla większej pewności zadzwoń na Piotra i każ mu iść obaczyć co robi Karolek?

Wstała Wandzia aby uczynić zadość rozkazowi Mamy, ale dzwonić nie trzeba było: drzwi się rozwarły, wszedł Piotr i z czem? ze skargą na Karolka?

Dostrzegł on że Karolek zaraz po odejściu Wandzi wybiegł z ogrodu i udał się ku stajni, gdzie chodziło kilka koni niespętanych, skubiąc spokojnie trawę. Karolek myślał że z niemi można igrać tak, jak z uwiązanemi, brał kamyczki i rzucał na konie. Bardzo niebezpieczna była ta zabawka, bo gdy koń kopnie, to i zabić może, a Karolek coraz bliżej przysuwał się do koni, nie zważając na przestrogi przechodzących wieśniaków.

Mama wyszła spiesznie na ganek aby Karolka zawołać ale jakiż widok przedstawił się jej oczom!

Karolek rozdraźniwszy konia, uciekał co miał siły, krzycząc przeraźliwie o ratunek, a koń biegł za nim, gniew swój rżeniem objawiając i bił kopytami w ziemię.



Na głos Karolka wybiegli przestraszeni ludzie stajenni uratowali panicza od nieszczęścia, a gdy go przyprowadzono do pokoju, Mama nawet mówić z nim nie chciała, tak mocno była zagniewana i kilka dni minęło nim się pozwoliła przeprosić.

To martwiło bardzo Karolka, bo on kochał Mamę i dobre miał serce, a smutek jakiego przeto doznawał, obawa kary i strach, jakiego koń go nabawił, poprawiły go i odmieniły nie do poznania; bo też gdy pewnej niedzieli Wandzia z Mamą jechała do swojej ukochanej przyjaciółki Maryni, Karolka jako grzecznego zawieziono tam także.

Wandzia wiozła ze sobą dwie równianki kwiatów.

— Dla kogoż je przeznaczasz, zapytała Mama, czy obiedwie dla Maryni? Dostrzegam wielką różnicę między temi bukietami — zkądże to pochodzi?

I rzeczywiście chociaż obadwa były piękne, jeden był znacznie mniejszy od drugiego.

— Ten mniejszy, rzecze Wandzia, ofiaruję Maryni.

— A większy?

— Większy przeznaczyłam... lecz, lecz to nie moja tajemnica, pozwól kochana Mamo że teraz nie odpowiem ci na zapytanie, ale za krótką chwilę dowiesz sią o wszystkiem.

— Niech i tak będzie, odpowiedziała Mama.

Niebawem zatrzymał się pojazd u celu podróży; dzieci ciekawe powychylaly główki aby obaczyć czy ich oczekują, lub czy już nadjechał kto z sąsiedztwa.

Wandzia wysiadła ostrożnie aby nie uszkodzić kwiatów, tuż za nią wyskoczył Karolek i wysiadła Mama, ale jakież było ich zdziwienie, gdy ujrzeli że Broniś, braciszek Maryni siedział na ganku, otoczony kilkorgiem wieśniaków i czytał Dzwonek, a wszyscy słuchali go z wielką uwagą.



Najbliżej niego stał stary Grzegorz, gospodarz poczciwy i rozumny, który szczerze pragnął dowiedzieć się z książek czegoś nowego, ale czytać nie umiał; obok dzieci jego, które już chodziły do szkoły i uczyły się dobrze, a dalej kilku ludzi dworskich, którzy woleli słuchać Bronia czytającego pożyteczną książkę, jak trawić czas na próżnowaniu — Broniś czytał głośno, wyraźnie, powoli i objaśniał czego wieśniacy zrozumieć nie mogli.

Matka Wandzi bardzo chwaliła zajęcie Bronia. Wkrótce nadbiegła Marynia.

— Jakież prześliczne kwiaty! wołała witając się z przyjaciółką.

— Ten mniejszy bukiecik dla ciebie.

— Bardzo ci dziękuję, a większy?

— Wkrótce się dowiesz, a tu masz szarpie.

— Wybornie!

— Ale zaprowadź mię do oficyn.

— Teraz nie można, bo chory spi.

— Właśnie go chciałam zastać spiącym.

— Ach! zgaduję myśl twoją, rzecze Marynia i klasnęła w ręce z radości poglądając na ogromny pęk kwiatów, który Wandzia trzymała w ręku. Z całego serca dopomogę ci kochana przyjaciółko!

— Idźmyż więc.

Marynia z największą ostrożnością otworzyła drzwi od pokoju, w którym leżał ranny powstaniec, weszła Wandzia i nalawszy wody do szklanki, wstawiła w nią przywiezione kwiaty i postawiła przy łóżku.

— Jakaż to miła będzie niespodzianka gdy się przebudzi! rzecze Marynia.

I w samej rzeczy chory serdecznie się ucieszył ujrzawszy kwiaty, których tak dawno nie widział, brał je do rąk każdy z osobna, oglądał, oddychał ich wonią i był wdzięczny dziewczynkom, a szczególniej Wandzi. Marynia żałowała że nie pielęgnuje ogródka, chciała się poprawić, ale już było za późno, bo pora siewu minęła.

Z HISTORJI NATURALNEJ.

Niedoperz.

Miluchny był wieczór gdy Tato z Olesiem i Marcinkiem wyszedł na przechadzkę ku rzece. Zorza wieczorna rozpościerała swą złocistą oponę na lasy i góry, a słońce na prześlicznem niebie ostatnim uśmiechem żegnało ziemię. Cisza była w około. Lekki tylko wietrzyk roznosił aromatyczną

woń kwiatów, które zamykały i chyliły swoje główki do wieczornej modlitwy — a po śrebrzystej rzece płynął słodki głos dzwonka z niedalekiej wioski.

Chłopcy stanęli na wzgórku i przysłuchując się piosnce słowika w gaju, nie mogli napoić oczu wspaniałym widokiem pięknego wieczora.

Ojciec przystąpił ku chłopcom i tak przemówił do nich:

— Starajcie się, moje dzieci, przez całe życie być dobrymi, aby koniec życia waszego był tak piękny jak wieczór dzisiejszy.

Wtem przeleciało coś po nad ich głowy.

— Co to za ptaszek przeleciał nad nami? zapytał Oleś.

— To niedoperz mój Olesiu — powiedział Marcinek.

— Opowiedz nam też, kochany Tatku, cokolwiek o tym ptaku — prosił Oleś — bo my o nim jeszcze nic nie wiemy.

— Chętnie uczynię zadosyć waszej ciekawości — odrzekł ojciec — ale przekonuję się że niedokładnie zastanawiacie się nad rzeczami. Nie dziwię się temu, bo jesteście jeszcze za mali — poźniej to inaczej będzie. Mylicie się niedoperza do ptaków licząc. Chociaż on nietylko wybornie lata, ale zręcznemi i szybkiemi zwrotami wiele ptaków przewyższa w locie — wszelako nie ma on właściwych skrzydeł. Do ptaków liczyć go nie można, jeno do zwierząt ssących. Kiedyś mając strzelbę zastrzelę niedoperza, abyście mu się dobrze przypatrzyli — dzisiaj opiszę wam go i opowiem kilka szczegółów o sposobie jego życia.

— Bardzo prosimy drogiego Tatka! zawołali chłopcy.

Już gwiazdki jedna za drugą wysuwały się na obszar nieba i księżyc pogodną twarzą zajaśniał między niemi — Oleś i Marcinek powracali do domu, a Tatko im o niedoperzu w drodze opowiadał w ten sposób:

— Powiedziałem wam już, moje chłopcy, że niedoperz nie ma skrzydeł jak ptak, a jednak może latać za pomocą cienkiej

błony, rozpiętej pomiędzy przedniemi i tylnemi nogami. Do ustawicznego i rączego ruchu dała mu natura silne muszkuły piersiowe; ma przytem bardzo małą głowę, w stosunku zaś do niej nader wielki gardziel i ostremi zębami zaopatrzone szczęki. Oczy jego są malutkie, uszy blisko dwa razy tak wielkie jak głowa, daleko sztuczniej aniżeli u innych zwierząt utworzone; również bardzo czujne i dziwnie ukształcone ma nozdrze. Niedoperz wydaje się jak wielka mysz miękkim, dosyć połyskującym powleczona włosem z wyrazem groźnym pyszczka i z odmiennemi zupełnie od myszy nogami, od których na siatce muszkułów szeroko rozpościera się przezroczysta, jak gdyby z bibuły utworzona, pospolicie popielatego koloru błona. Kilka jest gatunków niedoperzów, z których jeden wielkouchem zwany na szczególną zasługuje uwagę. Barwa zaś tych plugawych zwierząt zależy od pory roku, jako też okolicy w której przebywają — dlatego więc nie da się dokładnie oznaczyć.

— Czy niedoperz, proszę Tatka, dobrze może latać takiemi wachlarzowatemi skrzydełkami? zapytał Marcinek.

— Przecież powiedziałem wam, moje dzieci — rzecze ojciec że niedoperz bardzo dobrze lata — Jednakowoż siedząc na ziemi nie może jak ptak silnem uderzeniem skrzydeł podnieść się w górę — więc tak sobie radzi: U tylnych łapek ma on jakby palce, na których znajdują się ostre zakrzywione pazury. Gdy chce wzlecieć posługuje się temi pazurami, za pomocą których wdrapuje się na ścianę lub inne jakie wzniesienie, i ztamtąd rozłożywszy łapy przednie, które mu służą za skrzydła, wzlatuje. U przednich łap pazurki są nie tak silne, dlatego więc niedoperze zawsze odwrotnie, to jest głową na dół zawieszają się gdy idą na spoczynek lub wzbiją się w powietrze. Mają przeto wolne skrzydła i są każdego czasu gotowe do odlotu. I w zimie w czasie braku pożywienia wiszą tak obrócone na pazurach tylnych nóg w kominach albo innych od zimna bezpiecznych miejscach. W razie jednak wielkiego niebezpieczeństwa i obawy o życie, sie-

dzące na ziemi niedoperze tak długo biją skrzydłami o ziemię dopóki nie wzniosą się w górę.

— A jakże niedoperz potrafi w ciemnej nocy latać? — zagadał Oleś.

— I to jest rzecz ciekawa — powie ojciec. Mylicie się jednak jeżeli się wam zdaje że do tego są mu oczy przydatne. O! nie — właśnie oczy u niedoperza są najmniej wykształcone, przytem zbyt małe, włosami zasłonięte tak, że w ciemności mało co widzi. Pomimo że żrenica ich bardzo rozszerzyć się zdoła, wszelako nie błyszczy tak jasno jak u innych zwierząt drapieżnych. Pan Bóg troskliwy o każde stworzenie, niedoperzowi zamiast bystrego wzroku dał nadzwyczajne delikatne czucie i tkliwy zmysł dotykania. Nawet w najciemniejszym pokoju może on latać bez uderzenia o jaki przedmiot jak się to ptakom wydarza — ma oprócz tego doskonały słuch, że najleksze poruszenie muchy słyszy, albowiem zaraz podnosi uszy i rzuca się na nią. I ślepe niedoperze latają bezpiecznie w ciemności nocy i omijają każdy przedmiot.

— A gdzie też te dziwne zwierzątka najczęściej przesiadują? zapytał znowu Marcinek.

— To moje dzieci — rzekł ojciec — zależy od ich gatunku. Jedne siedzą w dzwonnicach, na strychach, po starych piwnicach, kominach, stosach drzewa lub trzciny, niektóre w dziurawych drzewach, inne nakoniec, jak amerykańskie, pomiędzy liśćmi bananów. Przesiadują tylko w miejscach mocno ocieplonych, gdyż nawet podczas chłodniejszych letnich ranków marzną zupełnie. Najliczniej jednak znajdują się te zwierzęta w Ojcowskiej dolinie, zwłaszcza w obszernych jaskiniach, jak np. w tak zwanej Książęcej Jamie przebywają w takiej ilości, że wszedłszy do niej przeraźliwy pisk i odrażająca woń przykre na każdym wchodzącym wrażenie czyni. Nalatawszy się niedoperze całą noc, wracają nad ranem do swoich kryjówek, a wówczas koty, łasice i sowy spiące te zwierzęta chwytają i niszczą.

— A w zimie kochany Tatku, czy niedoperze także u nas przebywają? — zapytał Oleś.

— Tak jest — odpowie ojciec — na zimę wpadają one w sen zimowy, z którego się jednak w cieplejsze dnie przebudzają, dlatego i w zimie można je latające obaczyć. I wielkie zimno wybija je ze snu — a wtedy giną z mrozu. Wszelako w niektórych okolicach Europy latają niedoperze w zimie, chociaż nie widać ich tam w lecie, z czego wnosić należy że niektóre rodzaje tych zwierząt równie jak ptaki w jesieni odlatują do innych krajów.

— Czemże się żywią te zwierzęta? — zagadał Marcinek.

— Najwięcej — mówił dalej ojciec — żywią się owadami, które łapią w locie skrzecząc. Niedoperze są po kretach największemi żarłokami, albowiem dziennie daleko więcej jedzą aniżeli same ważą. Widziano niedoperza który trzynaście jeden po drugim zjadł chrząszczów, a jeszcze nie był syty; inny znowu mniejszy spożył ośmdziesiąt much nim głód swój zaspokoił. Bez wątpienia tedy zwierzęta te należą do nader pożytecznych, bo wytępiają mnóstwo szkodliwych owadów, chrząszczów, komarów i ćmów.

Co same nie zjedzą, chowają sobie na później w torebce pod gardziołkiem umieszczonej. Twierdzą niektórzy że one lubią jeść słoninę; to się jednakże nie potwierdza, ponieważ złapanemu niedoperzowi podawano nieraz słoninę a przecież jej nie wziął do pyska.

— Czy to zaś prawda, drogi Tatku — przerwał Oleś — że niedoperze zamotają się we włosy gdy kto idzie z odkrytą głową?

— Tego nie doświadczali ludzie — ale że jest niestosownie chodzić po dworze z odkrytą głową, więc straszą tem dzieci że niedoperz wkręci się we włosy; w Ameryce tylko znajduje się jeden gatunek wielkich niedoperzy, które rzeczywiście są niebezpiecznemi, gdyż napadają podczas snu na ludzi i zwierzęta i wysysają im krew z ciała.

ZWYCZAJE STAROPOLSKIE.

Wilja Bożego Narodzenia. Dzień ten radośny w całem chrześcijaństwie, uroczyście biesiadą postną obchodzony bywa, lecz raz tylko i to dopiero o gwiaździe jedzą. Przedewszystkiem łamią się opłatkiem białym z rodziną, gośćmi i domownikami, życząc sobie nawzajem dosiego, to jest długiego życia. Izba jadalna słomą, a stół do jedzenia sianem pod obrusem pospolicie bywa zasłany, a w każdym kącie izby stoją snopy rozmaitego zboża. Czasem łańcuchem stół opasywano, żeby go się chleb trzymał, a żelazo płużne pod stołem kładą, aby krety roli nie psowały. Przy końcu wieczerzy wyciąga młodzież z pod obrusa źdźbło siana; jeżeli zielone, znaczyło w zapusty odmianę stanu, jeżeli zwiędłe, to znaczyło niepomyślną wróżbę. Ze snopów kłosy wyciągano, wycierano ziarnka i liczono je; parzyste związek małżeński oznaczały, nieparzyste dłuższą samotność. Jeszcze jest u ludu prostego w zwyczaju iż drzewa owocowe przewrósłem ze słomy, która pod stołem leżała, obwiązują zwykle aby lepiej rodziły i nie przemarzały od mrozów. Dziś do obchodu wilji należy koniecznie strucel, czyli chleb pszenny podługowaty, przez środek plecionką z ciasta obłożony i posypany czarnuszką; prócz tego jabłka, orzechy, pierniki, zwłaszcza toruńskie, dzieciom i służącym na podarki; a sama wieczerza składać się koniecznie powinna z dziewięciu potraw, między któremi polewka z migdałów i kluski z makiem i miodem najważniejsze. Przestrzegają żeby osób u stołu było do pary.

Przyjaciel dzieci wychodzi dnia 1 i 15 każdego miesiąca Przedpłata w miejscu wynosi rocznie 4 Złr. 40 cnt. w. a., półrocznie 2 Złr. 20 cnt. w. a Z przesyłką pocztową rocznie 5 Złr. w. a. półrocznie 2 Złr. 50 cnt. w. a. W W. X. Poznańskiem rocznie 3 talary pruskie. Przedpłatę miejscową przyjmuje księgarnia p. Karola Wilda Przedpłatę pocztową (*także z W. X. Poznańskiego*) należy przysyłać **franco** wprost: *Do redakcji Przyjaciela dzieci, we Lwowie w rynku pod l. 51.*

Redaktorka odpowiedzialna Aniela Zawadzka. Drukiem K. Pillera 1865.